Nr 10. 1860. 3 Grudnia.

NIEWIASTA.

Myśli i obrazy.

I.

Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Adam Mickiewicz, w „Panu Tadeuszu“.

Czem się to dzieje, że byliśmy i jesteśmy, da Bóg i na dal nie przestaniemy być narodem?

Oto nasamprzód, że mieszkamy od niepamiętnych czasów na miejscu jednem i tem samem a swojem; — mieszkamy stale, nie włócząc się z kąta w kąt, z jednego krańca świata na drugi; a na miejscu tem, osadził nas Bóg i zrobił posiadaczami a dzierżawcami swoimi.

Oto, że żywi nas od wieków ta troskliwa matka, ta ziemia nasza rozległa, ten kraj nasz ukochany, ten

„. . . . kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół,
Różnowzorowym kryty kobiercem;
Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód;
Puharem stoi jedno, drugie morze . . .“

Oto, że mamy ten grunt, na którym naród cały, warstwa po warstwie, pokolenie po pokoleniu zapuszczały korzenie, piły ożywcze soki i rozrastały się w owe rozłożyste, żylaste i potężne dęby, co przetrwały tyle burz stojąc na straży chrześciańskiego świata; — tę ziemię z którą sam Stwórca tysiącznemi związał nas węzłami, tak, że w oddaleniu dopiero czujemy brak jej, tęsknimy i wzdychamy do niej, chociażby w obcej stronie na niczem nam nie zbywało; tak, że ów najpotężniejszy z naszych nowożytnych Prometeuszów, których złowrogie losy do ziemi obcej, jakby do pustej skały przykuły, ów nieśmiertelny wieszcz nasz, co to tak często wznosił się i zawisał w niebiosach, przecież o ziemi swej nie zapomniał, ale rozmiłowany, roztęskniony zawołał:

Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. . . .

A co to jest ojczyzna?

„Co jest ojczyzna? oto ja ci powiem:
Starzy ją zwali swem życiem, swem zdrowiem,
Służąc jej wiernie, w złym i dobrym losie.
Co jest ojczyzna? to twej chaty ściany,
To dach twój stary, słomą poszywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twej woda, co cię rzeźwi w lecie,
To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka — cień twojej jabłoni,
To dzwon kościelny, co ci na mszą dzwoni,
To twoich sejmów trwałość i swoboda,
To twego ojca, osiwiała broda . . .
Oto ojczyzna — za jednym wyrazem,
Wszędzie cząstkami i pospołu razem.“

Tak odpowiada na to ważne zagadnienie poeta *); — tak odpowiada serce: ale i rozum łatwo znajdzie odpowiedź. Bez gruntu nie ma zasiewu, bez zagrody gospodarstwa, bez miejsca pod dom, nie można budować domu.

Otóż my mamy grunt ten, który uprawiali i zasiewali rolnicy oni drodzy: ojcowie nasi; mamy owę zagrodę, na której wieków tyle gospodarowali oni starzy gospodarze nasi; mamy miejsce, na którem wieków tyle budowali oni poważni budowniczy nasi!

Tak mamy grunt swój, rolę swoją, mamy zagrodę swoją, mamy miejsce swoje, piękne, w dary boże obfite i rozległe; tak mamy je

„. . . . Od Gdańska po Kudak! Od kopca
Krakusa nad Wisłą — po Dźwinę!

I dla tego jesteśmy narodem, bo mamy ojczystą ziemię, siedziby swoje, na których osadził nas Bóg i tymte tytułem, tem prawem od wieków dzierżymy je.

Ale nie na tem koniec. *Nie dosyć mieć ziemię ojczystą, trzeba ją jeszcze kochać;* boć bez miłości nie masz ojczyzny; bez miłości to tylko martwa, obojętna ziemia, która chyba w rachunku spekulantów ma swoje znaczenie. Albożczy ma ten ziemię ojczystą, kto z zimnem a nawet często z wesołem sercem opuszcza kraj rodzinny i pod godłem: „gdzie dobrze tam ojczyzna“ pędzi na drugi kraniec świata po okruszyny złota, lub nędzny kawałek chleba!

Kochać więc trzeba ziemię ojczystą i bardzo kochać! A czemu? spyta może jaki kosmopolita, wielbiciel zachodu, człowiek bez serca a o wyziębionej duszy, włóczęga po kuli ziemskiej, płaz zimny: co i na lądzie i w wodzie wegetować potrafi.

Ha! jeśli jest jaki nieszczęśliwy, któremu dopiero powinności kochania ziemi ojczystej dowodzić potrzeba, to mu przynajmniej odpowiemy po krótce, a może wzbu-

*) Syrokomla: „Nocleg hetmański.“ Druk Zawadzkiego w Wilnie.

dzi się zastygłe serce, ocknie się z letargu drzemiąca dusza a ulituje się Bóg i przejrzy ciemny nieszczęśliwy kaleka!

Otóż kochać należy ziemię ojczystą, bo tu nas po pierwszy raz w życiu matka nasza przyroda w objęcia swe chwyciła i, spowiwszy tysiącznemi węzłami, od tej chwili przyciska do piersi swej matczynej, i tuli nas i żywi i kiedyś znużonych, spracowanych na wieczny spoczynek znów na łono swe przyjmie.

„Tu mnie ziemia wychowała,
Z nią ja ślub zawarła,
Gdybym ją opuścić miała,
Tobym ja umarła“

Śpiewa Basia, ona hoża Krakowianka w Krakowiakach i Góralach Kamińskiego.

Kochać należy ziemię ojczystą, bo tak poufale, tak dobrze znaną nam twarzą nigdzie nas nie wita przyroda; tak nas nigdzie nie pozdrawiają ludzie, ani zwierzęta, ani chaty, ani drzewa, ani owe stare płoty, ani drogi, ścieżki i miedze, ani falujące łany, ani czarna rola, ani przychylone krzyże i figury — nie, nigdzie na świecie nie uśmiecha się do nas tak serdecznie życie!

Bo tu w ojczyźnie, kochamy się wszędzie i we wszystkiem, ba! nawet jakbyśmy ślub wzięli z tem wszystkiem co nas otacza. Tu nie ma rzeczy martwych, bo wszystkie oddychają cząstką naszego życia; tu nie ma rzeczy obojętnych, bo rzecz najniepozorniejsza, to towarzyszka życia naszego, wiodąca za sobą nie jedno wspomnienie

„Tych brzóz kilka, ten bieg wody
Ileż człeku przypomina,
Tu spędziłem wiek mój młody“

śpiewa ów kochanek Justyny, znany nasz poeta serca.

Tu wszystko, co nas otacza, traci swe właściwe znaczenie, a nabiera innego, dla nas drogiego, bo się zanurzyło w głębiach serca i duszy naszej; więc każda drobnostka to wskazówka skierowana ku jakiejś ważnej chwili życia, każda nawet fraszka to symbol jakiś, to klucz, to hieroglif, po których odczytujemy ubiegłe chwile, uczucia i wspomnienia, czy to owe rajskie sny lat dziecinnych, czy ów wiek złoty, kiedy zapał tworzy cudy, nowości potrząsa kwiatem i obleka nadzieje w złote malowidła, czy nakoniec owę żelazną erę męskiej i poważnej pracy, w skwarnem południu żywota dokonywanej.

Tu wszystko z nami wzrosło, w duszę naszę wnikło, w jestestwo nasze wsiąkło; tu wszystko kość z kości naszej, krew z krwi naszej. Tak:

„Droga ziemia ta
Myśl ją moja zna,
Tam najpierwsze szczęście moje
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!“

Śpiewa serdeczny ów Ułan-poeta, przedwcześnie zmarły w Stanisławowie, Maurycy Gosławski. Kochać więc, kochać ziemię ojczystą! bo ta ziemia to „arka przymierza między dawnemi i młodszemi laty, arka w której broń rycerzy naszych a nawet rycerze sami spoczywają; więc ziemia ta droga, bo kośćmi przodków naszych zasiana, krwią bohaterów naszych, męczenników naszych przesiąknięta, a łzami cierpiących zwilżona; — ziemia, której „piędź każda mogiłami żywa“; *) gdzie dziś

„..... na obszernych polach rozległe milczenie,
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy;
Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy,
Tylko z mogił westchnienia — i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej dawnej sławy.
Dzika muzyka! dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa;
A gdy cały ich zaszczyt: krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje w żalu się nie nurzy?

Ach! czyjeż więc serce, czyje? niech i nam wolno będzie się zapytać, na wspomnienie, na myśl o tej drogiej ziemi, której powierzchnia stała się rozwartą księgą, czynami ojców naszych, jakby potężnemi głoskami zapisaną, a wnętrze skarbnicą najdroższych naszych świętości narodowych, — czyjeż więc serce nie zadrgnie silniej, nie uderzy potężniej i w miłości dziecięcej a gorącej się nie zanurzy?

Stroje niewiast polskich za Augusta III.

(Ciąg dalszy.)

Po tak szczegółowym opisie ubrania głowy „tego pierwszego obmiotu, gdy kto na drugą osobę rzuca okiem“ przystępuje nieocéniony w swoim rodzaju prostodusznej szczeroty autor, do sukień.

Sukień używały rozmaitych, najpierwej spodnicy, zwyczajnej po dziś dzień: bogate, z materyj tęgich bławatnych w kwiaty, samych jedwabnych i litych, uboższe, z atłasów, grodetorów, kitajek, a jeszcze uboższe z kamlotów; pod którą wdziewały drugą spodnicę atłasową na bawełnie przeszywaną albo też kuczbajową.

Na wierzch brały sznurówkę rogiem wielorybim czyli fiszbinem przeszywaną, z wyciętym gorsem, ściskając się temi sznurówkami jak najmocniej dla wydania subtelności stanu, czasem aż do mdłości. Ta sznurówka była powleczona atłasem lub kitajką. Na sznurówkę kładły jupeczkę krótką, za stan cokolwiek dłuższą, z rękawami po łokieć krótkiemi, z materyi takiej, jak spodnica, albo też i odmiennej, z tyłu fałdzistą, z połami przestronemi, na przodzie krojem takim, jak mantolety kanonickie. Zimowe takie jupeczki podszywano futrem, w lecie kitajką albo płótnem glancowanem. Dalej te jupeczki były w stan wcinane opięto, na guziczki z przodu zapinane, z rękawami do pięści sięgającemi. Do rękawów krótkich, wyżej wspomnionych, przypinały mankiety wielkie gazowe z koronkami, podwójne, i nie zwały się takie mankiety mankietami, lecz angażantami. Do rękawów długich przypinały mankietki małe bez koronek, przy nazwisku mankietek zostawione. Latem nie kładły nic na żadną z tych jupeczek, tylko muślinową chustkę na szyję, jedwabiem złotem i srebrem w kwiaty haftowaną, kolorów: białego, żółtego, zielonego i czerwonego, której końce, na krzyż na przodzie założone, szpilkami do jupeczki przypięte, pierś wypukłą zakrywały, dając przez materyą cienką i rzadką dosyć przezroczystości. Na plecy, w miarę łopatek, spuszczał się jeden koniec czyli róg, takiej chustki, trójkąt wydający.

*) Gdy Polacy owego czasu ojca świętego prosili o relikwie, rzekł im: macie ich pełno, bo macie pełno męczenników za świętą wiarę katolicką.

Zimą na takie jupeczki brały kontusiki futrem podszywane, z długiemi rękawami wiszącemi, z wylotami szerokiemi do ręki wytknięcia sposobnemi, u ramion obszernie sfałdowanemi, u pięści wązko ścinanemi. Te kontusiki zdejmowały z siebie, przychodząc do ciepłej izby, któremi okrywali się, zostawieni za drzwiami lokaje, paziowie, Węgrzynkowie i inni służebni, mianowicie na balach i redutach, na których całe nocy w przysionkach zimnych pokutować musieli. Której nie stać było na kontusik, obywała się jupeczką samą. Kontusik był długi do wpół ud, trwał długi czas w modzie, choć nastały inne futra, o których będzie niżej. Zażywały także damy bogate jupeczeki bez rękawów, letnich i zimowych, gronostajami podszytych albo popielicami albo felpą jedwabną: kroju były takiego jak jupeczki bez stanu, i zwały się takie jupeczki kozakinkami; a gdy się w takie jupeczki stroiły, brały na spód gorseciki materyalne, opięte z rękawami do pięści długiemi, wąziuchnemi, do grubości ręki stósowanemi, a na takie kozakinki w zimne czasy kładły kontusiki wyżej opisane. Od średnich lat Augusta III nastały szamerlaki, manta-szusty i szlompry i robrony, tych ja z osobna opisać nie umiem, ponieważ mała różnica kroju odmieniła im nazwiska, z całkowitej zaś postaci wydawała się oczom męskim, jak jedna suknia. Była zaś jednostajna na całą osobę z stanem wciętym, długa z przodu aż do kostek u nóg, z tyłu zaś daleko dłuższa, tak, że się wlekła po ziemi na półtora łokcia albo i na dwa łokcie—i zwał się ten zbytek sukni ogonem, który paziowie nosili w ręku za swojemi paniami.

Ale jeszcze przed temi wszystkiemi pierwszy był kabat, który został teraz suknią samych panienek niedorosłych, choć przedtem był strojem wszystkich dam.— Kabat tem się różnił od innych sukień długich, że się sznurował z tyłu, a inne wszystkie z przodu, i że nie miał w tyle fałdu, przez całe plecy aż do dołu ciągnionego, jak go miał szust, robron, szamerlak, i t. p.

Mówi tu następnie o gorsach wycinanych, których modę, aż do nieprzyzwoitości posuniętą, surowo gani i wyśmiewa. Poczem przechodzi do drobniejszych ozdób kobiecych.

Szyję zdobiły najprzód koralami z perłami przeplatanemi, potem samemi perłami, potem łańcuszkami złotemi, na ostatku wązką aksamitką czarną, od której spadał między piersi misternej roboty krzyżyk dyamentowy, lub inny jaki portrecik kamelizowany, albo też bez żadnej figury drogi kamień świecący. Jakie zaś było noszenie na szyi, takie być musiały manele na ręku; pierścionków zaś im więcej na palcach, tem lepiej ręka ubrana. Do uszów najprzód przypinały zauszniczki małe perłowe lub rubinkowe w złoto oprawne, potem większe w figurę róży, z brylantów prawdziwych albo czeskich; te dwa gatunki przetykały przez brzusiec ucha, szpilką za młodu przekłótego. Na ostatek wymyśliły zausznice wielkie, jak grona winne wiszące, z pereł i brylantów, które, że uszy przerywały, przeto nie przez ucho, ale za ucho na stronie mocniej bywały zakładane.

Wychodząc z domów na otwarte powietrze, używały na głowę i całą twarz spuszczonych kfefów czarnych, krepowych, albo też jedwabnych w siatkę robionych; przez takie kfefy mogła dama dobrze wszystko widzieć i być widzianą, było to bardziej służące dla modestyi, osobliwie w kościołach, jak dla uniknienia ogorzelizny.

Na ręce kładły rękawiczki irchowe, po łokieć długie, palczaste albo też bez czterech palców, klapką, jedwabiem i złotem lub srebrem wyszywaną, przykrywane, o jednym paluchu w pół palca krótkim, na wielki palec. Te rękawiczki były w różnych kolorach, częstokroć do koloru sukni stósowane. Drugiego gatunku rękawiczek używały jedwabnych czarnych, kształtem siatki albo pończochy dzierzganych; te zawsze były o jeduym palcu z klapką, bez wyszywania, na inne cztery palce spadającą, i zwały się takie rękawiczki mitynki, lepiejby je było nazywać nitynkami, od nici, z których były robione. Uboższe takie mitynki robiły sobie z nici białych lnianych. Bez wachlarza nigdy nie były w drodze i na przechadzce, a nawet i w domach, zasłaniały się nim od słońca, i chłodziły się powiewaniem onego, mianowicie, kiedy były tańcem lub inną jaką agitacyą zmordowane. Wachlarz najmodniejszy i najdroższy był, który miał żebra z słoniowej kości, kitajką malowaniem chińskim ozdobioną powleczony. Podlejsze wachlarze były z drewna i papieru, z malowidłem czyli drukiem, albo wybijaniem różnych figur i kwiatów. Pończochy były w modzie zimową porą wełniane, rozmaicie farbowane, u bogatszych kastorowe, to jest z bobrowej szerści, latem pończocha czarna albo innego koloru włóczkowa, cienka, i jedwabna. Zarzuciły nie długo te wszelakie pończochy, a rzuciły się do jedwabnych lub nicianych cienkich, samego białego koloru.

Podwiązek zażywały dawniej ze wstążek, potem pasamońskiej roboty, złotem lub srebrem przerabianych, szerokich, na tasiemkę jedwabną lub wstążkę zawiązywanych; na ostatku zapinały podwiązki sprzączką brylantową albo perłową do garnituru sprzączki u trzewiczka; takie podwiązki były zdobyczą dworskich łotrzyków, którzy pod pozorem amorów, jakoby na nezabudesz, głupie panny, męża pragnące, z tychże podwiązek i pierścionków obdzierali, z czego sprzedanego, oporządzali sobie rzędziki na konie, szable i ładownice.

(Dokończenie nastąpi.)

Stanowcza chwila do***

Kiedy pod bryklą, tam u sznurówki,
Serce grać zacznie, tempo *vivace*,
Kiedy u czółka pięknej twej główki,
Myśl nieznajoma ci zakołacze;
Kiedy w duszyczce dziwną koleją,
Raz się rozświeci — to znów zachmurzy,
Raz się usteczka płocho zaśmieją,
To znów od łezki oko się zmróży;
Kiedy samotnej cichą godziną,
Roje marzenia w łono napłyną,
Że jako fala wiatrem chybana,
Raz się podniesie — to znów opadnie!
To wtedy jeno słuchać mnie ładnie,
Baczność! panienko kochana,
Baczność dziewczyno!

Gdy przed zwierciadłem ubrania porą,
Rączki niepewnie błąkać się zaczną,
Czy piękną różę w włosy wybiorą,
Czy niezabudki: kwiaty pamięci;
Gdy na ogrodzie, gdzie ścieżka kręci,
Nóżki na drogę zajdą opaczną,
Kiedy w dal modre oczko poleci,
Czy tam kasztanek drogą nie jedzie,
A łzą zawodu przykrą zaświeci,

Jeźli to proboszcz sąsiedni będzie;
Kiedy się rączka ku sercu skłoni,
Gdy to nie będzie proboszcz dobrodziej,
Ale młodzieniec, co w silnej dłoni,
Czwórkę ognistych koników wodzi:
Kiedy rumieniec jak pożar jaki,
Przez twoje piękne przejdzie buziaki;
Wtedy mnie słuchać ową godziną:
Baczność dziewczyno!

Jeźli przy chłopcu z wąsy czarnemi,
W pół błogo będzie—a w pół niepewnie,
Niby to dobrze—a jakoś rzewnie:
Gdy się ukradkiem oczy modremi
Powiedzie za nim boczkiem, ostrożnie,
A gdy on spojrzy, wzrok ten pobożnie
Spuści ku ziemi, i na podłodze
Będzie rachować deski skwapliwie:
Gdy koleżanki szepną złośliwie,
Aby napędzić raka niebodze;
Kiedy w mazurze przy kawalerze,
Jakoś się mocniej liczko zrumieni,
Kiedy za rączkę ręką swą bierze,
I pośród tańca zwojów, pierścieni,
Zawsze się serce jakoś podrzuci,
Kiedy się znowu do niego wróci;
Jeźli nazajutrz w dziewiczej celce,
Łezka z ócz płynąć będzie na kwiatki,
Rosy kropelka po rós kropelce,
A w cichy pacierz, do niebios matki
Jego się imie wplącze nieznacznie:
Wtedy daremnie trzymać się bacznie,
Sama Opatrzność niech strzeże ciebie,
Anieli sami w pomoc niech płyną:
Boś zakochana, jak Bóg na niebie,
Moja dziewczyno!

Józef Szujski.

Życie kąpielne.

Szkic obyczajowy.

I.

Od kilku lat kąpiele nasze krajowe nie mało się ożywiły. Chwała Bogu, niejeździmy—tak widać, za granicę. Nasze stoki karpackie są tak urocze, że się przed niemi skryć mogą ponure góry czeskie, a towarzystwo polskie, towarzystwo z różnych stron naszego kraju, może wynagrodzić sowicie tę mieszaninę różnobarwną cudzoziemców, która w pierwszej chwili może bawić; ale niebawem i znudzić potrafi.

Zaprawdę jest w tem jakaś ironia, że się skupiamy przy źródłach zdrowia—z różnych stron kraju naszego. Przy tych źródłach baczny spostrzegacz moralny, może rzeczywiście widzieć, ile mamy różnych chorób i słabości, chorób, na które niestety żelazo, mangan i sól glauberska pomódz nie mogą! Bóg by dał, aby kupiąc się koło krynic fizycznego polepszenia, pamiętano i o moralnem—a miasto ważyć się na ważkach prowincyonalnego współzawodnictwa, wynoszono z naszych kąpiel przekonanie, że jednym i drugim dużo brakuje, że jedni i drudzy wejść mają na drogę obyczajowej i społecznej reformy.

Szkic obecny wzięty z życia kąpiel krajowych, nikogo straszyć nie powinien. Nie zawiera on dziejów żadnego pewnego saisonu i pewnego zakładu, nie krytykuje niedogodności kąpielnych urządzeń, ani gości płci męskiej lub żeńskiej, nie stawia portretów ani karykatur. Szkic ten jak to mówią, panu Bogu duszę winien.

W kalejdoskopie fantazyi autora, poruszyły się pojedyncze wzorki zebrane i ustawiły tak, że nikt nie domyśli się oryginałów. Nigdy nie byłem złośliwym — a zanadto dobrze życzę zdrojowiskom naszym, abym pisał na nie paszkwile. Jeźli korzystam z kilku zrobionych na prędce spostrzeżeń, to z powagą moralną w duszy— *pro publico bono.*

II.

Gdzie to było?

Było w kąpielach, na Podgórzu-karpackiem w Galicyi O nazwę mniejsza. Kąpiele wszystkie do siebie podobne. W dzicz borów, między cztery ściany gór, lasem i jałowcami pokrytych, rzucona sadyba ludzi, ludzi wykształconych, bo potrzebują domów porządnych, spaceru restauracyi i sali balowej, oto kąpiele. W środku kilka budynków w kształcie cystern, czy pagód indyjskich— to źródła mineralne. Bywa i kościołek. Otóż wszystko; więcej, malowniczy powieściarz opisować nie ma możności i przedmiotu.

Bo póki pierwsze kółko nie wyjdzie na ulicę spacerową, aby ją ożywić, kąpiele są dziwacznym i niesmacznym surrogatem miasta w górach. Doświadczy tego każdy, co je zobaczy w zimie, lub kto ostatni z nich wyjeżdża. Dopiero wprowadzając ludzi, kąpiele choćby najskromniejsze stają się cudowną czarodziejską gadką, polami Elizium starożytnego, ogrodem Armidy, słowem najśliczniejszą improwizacyą kłamanego życia swobody i szczęścia, o jakiej kiedykolwiek słyszano na świecie.— Z różnych stron kraju zjeżdżają się nagle familie i osoby pojedyncze, aby utrzymywać ciągły „theatre paré“ toalety zewnętrznej i wewnętrznej, aby pokazać zasoby materyalne i moralne. Każdy pozostawia za górami dręczące go stosunki i leci w złotą klatkę, aby się na jakiś czas stanowczo od nich odgrodzić, aby prowadzić życie wyjątkowe bez pracy, bez trudu, dla zabawy i rozrywki! A jeżeli i tutaj cel jakiś z sobą przywozi, to ten cel zawsze różowy, cel do którego dąży się przez morze zabaw i przyjemności. Mama przyjeżdża z dwoma córeczkami, które są na wydaniu, wdówka młoda przywozi siebie samą, podterany fizycznie i kieszonkowo kawaler przylatuje na ostatnich banknotach, z ostatniemi siłami nóg do polki i walca i t. d. i t. d. Inni przyjeżdżają w różowych snach o zielonym stoliku... Słowem spis zbawiennych skutków terapeutycznych, ogłoszony w gazetach obok nie ogłoszonych ale domniemalnych sperand po za granicami medycyny położonych, czarodziejską potęgą zgromadza na kilkuset sążniach ziemi najciekawszy kwodlibet ludzi, którzyby się nigdy inaczej nie byli zebrali ...

A cóż dopiero życie kąpielne, jego zawiązki, wzrost, kryzy stanowcze! Ileż tam ułowić można psychologicznych i socyalnych spostrzeżeń. Owe pierwsze chwile, podobne do historycznego momentu wędrówki ludów, chwile koexystencyi, że się tak wyrażę zbrojnej, gdzie każdy dom i familia spoziera nieufnie na drugą, nie wiedząc czy się do niej przybliżyć, gdzie trzyma się w obronnem stanowisku, aby nie zejść z piedestalu swej wielkości. W kąpielach panuje milczenie, spacery pełne szeptów złośliwych, słychać tylko szmer źródła i plusk

wody nalewanej do szklanek. Potem owa chwila druga, gdy się wędrówka ludów grupuje podług socyalnej pozycyi na tak zwane koterye—a system obronny przechodzi na granice tych koteryj.

Wtedy przy źródle spotykają się ideje wielkie demokracyi, arystokracyi i plutokracyi, uosobione paradniejszemi lub skromniejszemi sukniami, liberyą i t. p. Osobistość jakaś popularna wpadająca jak bomba, staje wtedy między partyami, i zlaniem ich, stanowi trzecią epokę złotego wieku kąpielnego. — Wtedy to reuniony przeciągają się późno w noc a do świtu trwają bale— Zdrowie gości podnosi się potężnie. Ale jak po każdym złotym wieku, następują inne pośledniejszego metalu, tak i po owym następuje rozprzężenie powolne. Zaczyna się epoka bajek i intryg na wielką skalę, pojedynków i gniewów obopólnych, a osobistość popularna traci swoją wziętość. Szczęściem wtedy prawdziwem, jeżeli mroźne wiatry górskie każą spakować tłumoczki i wynieść się do domu.

III.

My czytelników naszych wprowadzamy wprost w kryzę drugą, w kryzę koteryi i rozłamu społecznego. Tą razą, nie był to atoli tak rozłam na demokracyą i arystokracyą, jak współzawodnictwo między samemiż, rej wodzącemi postaciami, które były niestety nacechowane zgubnym przeciwieństwem prowincyonalizmu. Były to obozy Galicyi i Kongresówki, uosobione w familiach hrabiny galicyjskiej pani Trzyprztyckiej i obywatelki królestwa pani Trymdyszewskiej.

Dziwne podobieństwa zachodziły między oboma familiami.

Jak to widać z nazwiska: obie panie były familiantki, wprawdzie nie wysoko historyczne ale zawsze mocno dystyngwowane, bo obie, obie mówię przyjechały czworokonnemi angielskiemi karetami.

Przyjechały zaś jednego dnia i jednej godziny i stanęły w dwóch sąsiednich domach, które uchodziły za najdroższe i najlepsze pomieszkania w całych kąpielach.

Przyjechały każda z dwoma córkami, pannami na wydaniu. Panny były przystojne, strojne i niewiadomego wieku.

Całe dystyngwowane towarzystwo kąpielne, kupiło się około pani Trzyprztyckiej i pani Trymdyszewskiej. Jedna i druga była nieskończenie gościnną, chociaż przystęp do jednej i drugiej miał pewne arystokratyczne trudności.

Przez naturalny instynkt nienawiści, wypływającej z ducha konkurencyi ekonomicznej, niecierpiały się obie panie i cztery panny. Pani Trymdyszewska żądała od Trzyprztyckiej jako starsza, pierwszej wizyty, na co pani Trzyprztycka, jako hrabina galicyjska, przystać nie chciała.

Na reunionach i balach toczyły oba domy milczącą walkę paradą sukien, liczbą satelitów i przyjaciół i pogardliwością wzajemną spojrzeń.

Spacery i wycieczki odbywały obie panie w kierunkach wręcz przeciwnych jak Lot z Abrahamem: jedna na wschód druga na zachód.

Wzajemnej nienawiści stosunek pogorszał się o wiele bajkami skrzydlatemi, które utrzymywały telegraficzną komunikacyą miedzy oboma sąsiedzkiemi domami.

Pani Trymdyszewska miała powiedzieć, że pani hrabina Trzyprztycka posiada kupne hrabiowstwo, a z domu mocno zalatuje czosnkiem, przykrytym siedmiopałkową koroną barońską.

Pani Trzyprztycka zachwiała w młodzieży wiarę w majątek pani Trymdyszewskiej: listem, który z stron jej odebrać miała, a który o krydzie na majątku jej wspomniał.

Podobnież utrzymywała pani Trymdyszewska, że panny Trzyprztyckie są wyrafinowane kokietki, wykochane od oficerów, a pani Trzyprzycka pannom Trymdyszewskim zarzucała emancypowane maniery.

IV.

Expens tyla żółci, była dotąd doprawdy nie potrzebną. Jeżeli prawdą było, co utrzymywali złośliwi, że się obie panie córek pozbyć chciały, to dotąd nie było podobieństwa.

Prócz kilku akademików, których się tylko jako tancerzy ceni, kilku urzędników, którzy zwykle nawet tańczyć nie umieją, i kilku biednych prowincyonalnych kawalerów, nie było nikogo. Z królestwa pojawiło się kilku młodzieńców z miną gęstą, w fantastycznych czapkach na bakier i z szkiełkami w dobrze widzących oczach; ale pani Trymdyszawska chociaż, ich przeciągnęła na swoją stronę, nie uważała ich jako stosowne partye. Ci młodzieńcy zresztą zaawanturowali się wcześnie do stolików zielonych i z całą energią wzięli się do fałszowanego szampana i djabełka, przenosząc go nad istoty płci pięknej, które zwykle są także ukrytemi djabełkami, *tak przyuajmniej utrzymywal jeden z tej kawvleryi.*

Nie było zatem jeszcze wiele życia w kąpielach. Prócz dwóch grup Trymdyszewskich i Trzyprztyckich, chodzili wszyscy samopas: tu chudy literat z żoną znudzoną i zaniedbaną, ówdzie sztywny biuralista z wystrojoną jak czupiradło połowicą — zresztą bogate żydy i żydówki niemieckie, wykrojone z ostatniego żurnalu. Ale między tą pstrokacizną można było ujrzeć kilka postaci, które rzeczywiście interesować mogły, a także odosobnione chodziły.

Pod laskiem, w ustronnym i skromnym domku, mieszkała jakaś obywatelka wiejska z ładną niebieskooką córeczką i starym, ale militarnie się trzymającym mężczyzną. Był to kapitan W. jej mąż. Pani W. była mocno słabą i pojawiała się tylko na krótki czas na promenadzie, sparta na ręce pięknej blondynki córki i siwowłosego męża.

Z nimi razem widzieć można było od czasu do czasu osobę młodą, średniego wzrostu, bladej cery i uderzająco pięknych rysów, jednę z tych, której piękność tysiące ludzi pomija, bo jej zrozumieć nie potrafi. W czarnych jej przeniklwych oczach, był głęboki smutek, pomieszany z jakąś gorzką i bolesną ironią. Pan doktór Kręcicki, który wszystko wiedział i powiedział o tajemniczej tej pani, nie wiedział nic prócz tego, ze mieszkała w skromnej stancyjce, nazywała się panią Aurelią Walter i przyjechała z zagranicy. Pani Aurelia Walter nie komunikowała się ze światem, żyła tylko z kapitanowstwem i kochała bardzo piękną ich córkę Helenkę.

V.

Było to około jedynastej, w chwili kiedy się spacery najbardziej roją, gdzie ku źródłu jak ku Mece, pielgrzymią ze wsząd kąpielowi goście. Muzyka, ukryta w lasku, grała sentymentalnego strausowskiego walca a panny myślały o wieczornym balu; koło dwóch ławeczek przeciwległych, potworzyły się dwie grupy strojne, jedwabne, grupy państwa Trymdyszewskich i Trzyprztyckich.

Pani hrabina Trzyprztycka była osobą mogącą liczyć lat pięćdziesiąt. Obowiązany ją odmalować powieściarz w niemałym jest kłopocie, bo nie wie od czego zacząć. Rysy twarzy hrabiny są nie do odrysowania. Twarz hrabiny była osobliwego rodzaju purchawką, pościąganą i poszszywaną w dziwaczny sposób, w której pilne oko zaledwie zdołało rozróżnić maleńki i zadarty nosek —

wąziuteńkie, zaciśnięte i długą linią ciągnące się usta i wystającą naprzód brodę. Niegdyś była hrabina zapewne tą blondynką białawą, piegatą, kocich rysów, których tak wiele na świecie. Ale życia nadawały tej kociej twarzy oczy siwe, przenikające, złości i zawiści pełne i dwa rumieńce w kształcie dwóch czerwonych punktów, usadzone na każdym policzku, rumieńce składające się z nieskończonej ilości, krzyżujących się na szerz i wzdłuż żyłek maleńkich. Przytem była hrabina malutką, ale miała minę i tonik w postawie i ruchu, aż strach!

Córki pani hrabiny przerosły matkę o wiele. Były to ogromne, tłuste, dobrej figury panny, w krynolinach bajecznych rozmi.arów i niesłychanie wyściskane sznurówkami w pasie. Ta prawidłowość ubioru czyniła je mocno sztywnemi. Obie były szatynki o piwnych oczach dosyć pospolitego wyrazu. Po zadartych nosach i dumnie w górę wyrzuconych wargach widać było, żet były zarozumiałe: po kilku słowach obojętnie między sobą zamienianych, że się nie cierpiały. Ot! były sobie tuzinkowe, próżne, salonowe lalki a zwały się jedna Amalia a druga Malwina.

Ale prawda! był i pan Trzyprztycki. Pan Trzyprztycki był wysoki, chudy, nosił bokobrody i wstążeczkę orderową u guzika. Bo był kawalerem orderu. Miał on tylko jeden urząd na świecie: prowadzić panią Trzyprztycką i — milczeć.

Pani Trymdyszewska, wręcz przeciwną była postacią. Wysoka jak drabant, ściągłych i ostrych rysów, dzieliła tylko z panią Trzyprztycką złośliwość i przenikliwość spojrzenia i oryginalny choć bardzo dziś częsty stosunek do swego męża. Pan Trymdyszewski był taką nulą jak hrabia przeciwnego obozu. Przez podobieństwo sytuacyi, czuli do siebie pewną sympatyą i schadzali się na bilardzie w restauracyi, gdzie o ulubionych kwestyach ekonomicznych z sobą radzili, bo obaj byli ekonomistami. Ale w obec żon i córek nie znali się. Te ostatnie, t. j. panny Trymdyszewskie były z wielu miar podobne do swoich przeciwniczek: miały atoli swobodniejsze ruchy, które hrabina emancypowanemi zwała. Jakoż pozwalałały sobie palić cygara, jeździć konno i powozić faetonem.

W tej chwili bawiły się w najlepsze z dwoma kompatryotami (!) z królestwa, którzy z nasadzonemi z fantazyą żuawkami na głowach pozowali się koło drzew.

Pani Trzyprztycka zwracała właśnie uwagę pani Skrobiszewskiej, słynnej bajczarki kąpielnej na nieprzyzwoito — głośny śmiech panny Sylweryny i Alfonsy.

Pan Trzyprztycki żałosnem okiem spoglądał na grubego pan Trymdyszewskiego, z którym miał ochotę dyskutować o gorzelniach i browarach.

Panny hrabianki siedziały jakby wykute z marmuru lorynetując przechodzących.

Wtedy stał się „evenement“ w kąpielach.

Od strony świata cywilizowanego, gościńcem mimo spacerów wiodącym, zaturkotał lekki powozik, który wprawne ucho panny, jako faeton kawalerski poznać mogło.

Jakoż ku gościńcowi obruciły się wszystkie oczy i lorynetki.

W kurzawie pojawił się faeton, jak prawdziwy bóg olimpijski. Nad złote, słońcem przeświecone kłęby dymu, zajaśniały grzywy pięknych angielskich koni o długich szyjach i małych łebkach — srebrny uprząż błyszczał na czarnych rzemieniach, a lejce wytężone spoczywały w ręku pięknego, bardzo pięknego chłopca.

Ten piękny chłopiec miał śliczne czarne włosy pod zgrabną czapeczką, opalonej bladości twarz i czoło, czarny wąsik i rzadką elegancyą w ruchach i ubiorze. Obok niego na koźle siedział drugi, starszy mężczyzna, poważnych i pięknych rysów.

Stangret w liberyi rozpierał się w środku faetonu.

Na ten widok, ciekawe: kto to jest? odezwało się w każdej piersi. Przedewszystkiem ulegli tej ciekawości Trzyprztyccy i Trymdaszewscy, chociaż jej najmniej pokazali. Pani hrabina zapytała niby obojętnie doktora:

— Monsieur Kręcicki? któż to jest? Nie znasz pan?

— Nie znam pani hrabino dobrodziejko, odrzekł smutnie konsyliarz.

W tej chwili toż samo pytanie i tymże z samym skutkiem wystósowała pani Trymdyszewska do dyrektora zakładu.

Młody człowiek spozierał ciekawem okiem po tłumie spacerujących. Nagle silna jego dłoń wstrzy mała konie, lejce pochwycił stangret a nieznajomy wprost przez baryerę skoczył na promenadę — przed kapitana z żoną i Helenką.

W tym skoku o mało nie zaczepił o suknię jednej z hrabianek, która głośnym: ach! ukazała krok tak nieprzyzwoity.

— Kochany Adam! ozwał się dobrodusznie stary kapitan. No! proszę i ty tutaj? Powiedz mi co cię za licho sprowadziło? czyś chory, czy się chcesz zabawić?

— Ani jedno, ani drugie kapitanie drogi, odrzekł pan Adam. Ale, kiedy się kochany kapitan niedomyśla przyczyny mego przyjazdu, to jej i nie powiem.

Zarumieniona Helenka, widać, była nierównie domyślniejszą od ojca. Śliczne jej błękitne oczka zaszły wilgotną łzą: zrobiło jej się rzewnie koło serduszka, że dawny znajomy nie zapomniał, że przyjechał i to dla niej samej tylko. A zgadł potrzebę pan Adam, bo pannie Helenie tęskno było bez niego w kąpielach.

— Adam przyłączył się z przyjacielem do kapitanowstwa i puścił w promenady.

Wrażenie, które nowy przybysz sprawił, musiało być powszechne i głębokie, bo go powszechnie ganiono, a zganiwszy należycie, niemówiono o nim więcej. W kilka minut atoli, w skutek dziwnej konstellacyi losów pp. Trzyprztycki i Trymdyszewski znaleźli się przed stajniami zakładu, gdzie świeżo zajechał faeton Adama. — Znaleźli się jednocześnie, chociaż różnemi drogami, tak jednocześnie, że nos olbrzymi pękatego Trymdyszewskiego spotkał się prawie bezpośrednio z wiszącym orderem długiego hrabiego na Trzyprztykach. Odskoczyli od siebie, przelękli się a obzierając się starannie w prawo i lewo, przywitali się przyjaźnie.

— Padam do nóg pana hrabiego dobrodzieja.

— Najniższy sługa pana dobrodzieja.

W tej chwili przypomnieli sobie oba misyą dyplomatyczną. W instrukcyi stało: „Tylko żeby nikt o tem nie wiedział.“ Otóż teraz rzeczywiście żaden nie wiedzał jak sobie począć w takiej trudności.

Najpierw postanowili przeczekać jeden drugiego.

— He! he! panie dobrodzieju, pan po konie, pojedziecie państwo na spacer. Czas piękny, he! he! piękny czas.

— Dopiero po południu, panie hrabio. Ale pan, pan teraz zapewne wyjeżdża he? he?

Pan hrabia nie umiał na to odpowiedzieć.

— A co? może wieczór zejdziemy się na partyjkę co? w restauracyi? co? pula jedna?

— Owszem, a pogadamy po tem — właśnie w przedmiocie . . .

Tu w Trymdyszewskim powstała chęć dysputy. Przeląkł się jak młodzieniec pierwszej grzesznej myśli — „Tylko się wracaj“ brzmiało mu w uszach.

Widać było, że jeden drugiego przeczekać nie może, bo jeden drugiego przeczekiwał.

Wtedy Trymdyszewski, w ostatnim strachu pogrążony, ujrzał wychodzącego stangreta Adama. Jak tonący brzytwy, chwycił sługusa a zaciągnąwszy go w kąt stajni i wsunąwszy cwancygiera zapytał:

— Kochanku! jak się twój pan nazywa? tylko cicho!

— J. W. hrabia Adam Rożnowski odrzekł stangret.

W tej chwili uchwycił go za drugi rękaw p. Trzyprztycki i powtarzając w drugim rogu stajni też samą manipulacyę, też samą odebrał odpowiedź.

Rozpromienieni szczęściem spotkali się obaj panowie w drzwiach stajennych po raz drugi.

— Na puleczkę wieczorem, do widzenia.

— Do widzenia!

I w jedno miejsce przeciwnemi poszli drogami przekonani, że najsumienniej spełnili misyą dyplomatyczną,

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POLSKA w PIEŚNI

z księgi pierwszej „**Wojna Olbrzymów**. Wyszymir. Dwónastu Wojewodów przez **Deotymę**.

(Warszawa u Kowalewskiego 1860 r.)

Nic zapewne bardziej olbrzymiego najbujniejsza fantazya poety stworzyć nie może, nad wydobycie z zamglonej wiekami przeszłości obrazu, jedynie tylko fantazyi wyskokokiem będącego, obrazu napadu i walki olbrzymów (Awarów) od Azyi pędzących

Szalenie,
Tak zniszczenie

na zachód—do Europy—i zalewających ją całą chmurą swojej potęgi!

Deotyma, w księdze, której tytuł w całości tu przytoczyliśmy, podjęła się opisu tej walki. Zapewne! nikt z ludzi władających dziś rymem polskim, nie miałby odwagi ani prawa -- do podjęcia się czegoś podobnego. Fantazya powinna była zmarznąć w duszy twórcy — aby krystaliczne gzygzaki dziwnie łamiącego się lodu, dostarczyć mogły robotnikowi, do ciosania z nich języka płynnością, i rymów pamięcią — kolosu istót i czynów — zapisanych w tysiącu ksiąg o starożytności słowiańskiej. Deotyma tylko zdolną być mogła do tego— więc też to studium, do któregoby nikogo natchnienie nie ogrzało— tak jak i jej nie ogrzywała — ktoby nie był archeologiem lub badaczem starożytności, w wykonanie wprowadziła. Mamy dość gruby tom początku owoców tego przedsiębiorstwa: posłuchajmy jego treści i przypatrzmy się chwilom, w których pomimowoli, pewno nie na rozkaz autorki, zbiegłe od niebios połyska w niem natchnienie.

Więc rozpoczyna się rzecz napadem plemienia Awarów (Obrów) pochodzącego z rodziny Hunnów. Idą od Wołgi do Donu, przed ich napadem rozpraszają się z wozów ustawiane miasta... ryki trzód przepędzanych skarżą się żałośnie i t. d. i t. d. W opisie tym niby poetycznym najwięcej jednakże napotykamy najprozaiczniejszych wyrażeń. Gdy powiada jak strasznemi byli owi olbrzymi, wyraża się: *„Dosyć przypomnieć, że w lechickiej mowie, nazwa olbrzyma stała się odtąd godłem ślepej siły...* Czyż może być coś prozaiczniejszego w poezyi — Na *Łysej górze*, przy której jest coś o mitologicznym *świście*, (wietrze,) *olbrzymowie z kamieni budują warownię.* — Uczta olbrzymów w tej warowni w kilku wierszach nie źle opisana:

Przez zimowe, długie noce,
Krwawą łuną szczyt migoce...
W łunie błyska pląs bojowy, —
Czary brzęczą, jak okowy,
Po szczelinach zdartej chmury
Lecą długie śmiechy...
Przez huczące noce zimy,
Na wierzchołkach Łysej góry,
Ucztują olbrzymy.

Chanowi olbrzymów zachciało się kraju Greków, gdzie pięknie — brylantowo, gdzie gór 170 i 300 rzek. Idą posły o pomoc do Polan, którzy *pod władzą łagodnych potomków Lecha życie pokoju pędzą.* Polanie naradzają się, czy dać pomoc na uciemiężenie bliźnich? Jest tam trzech radzców, wszyscy trzej z brodami jak mleko białemi i po kolana, a jeden jest *śpiewcą*, drugi *opowiadaczem* a trzeci *wieszczem* (prorokiem, bo wie, co będzie). Uradzili aby odmówić prośbie i powiedzieć, *że za długa droga. Trzech gęślarzy* podejmuje się odnieść odpowiedź. Idą — przez śliczne gaje i kraje... lecz nie wracają — rok upływa — *drugu zima — trzech gęślarzy nie ma.* Po trzeciej wiośnie wracają do domu, to jest do *Gniezna.* Tu następuje opowiadanie wydarzeń posłów. Szli długo bo 15 nowiów, to będzie podobno rok i 3 miesiące... przyszli nareszcie. Opowiedzieli decyzyą rady. Chan się zgniewał — dalej z nimi na wyprawę. Dostają się nareszcie do niewoli Cesarzowi greckiemu Maurycemu, podobają się — bo zdrowi i silni, Grecy przy nich — to, niewiasty.

Chan ich się pyta — a co to za naród? jaki jego charakter? Odpowiadają:

My hodujemy wonny raj pokoju;
My wypełniamy posłannictwo zgody,
Ziomkom też naszym nie tęskno do boju.

Wprawdzie A. Maciejowski powiada o Słowianach, „że szczególniejsze znajdowali upodobanie w *muzyce*", sądzę jednakże, iż to upodobanie, które nie jest wyłączną cechą charakteru, nie przeszkadzało im do wojennego animuszu, jaki swym potomkom we krwi przekazali.

Rozpieśniony na tkliwą nutę naród nie mógł nadto posiadać tych cnót, które mu znakomici badacze starożytnych Słowian przyznają.

Potem każe ich cesarz odprowadzić do domu, obsypując świetnemi dary. O! jakież to zimno wieje z słów tych tułaczy, łzą witających rodzinną ziemię! Jakżeż tu mało prawdziwego uczucia ku rodzinnej wiążącego nas ziemi... Tego fantazyą nie stworzysz, do tego nie pomoże ci i najpłynniejszy rym. Oto powitanie:

Ziemio szczęśliwa! Gęślarz łzą cię wita...
Długoż ty jeszcze będziesz nie zdobyta?

A cóż to za gęślarz... bez serca, bez wiary... że się tak swobodnie pyta rychło jego ojczyznę zdobędą?... Wszak sama autorka mówi dalej, że *grożącą dolę przeczuwać to boleśnie.*

Trwoga więc w narodzie — trwoga między chłopiętami (parobkami ich zowie gęślarz) — lecz gęślarz uspokaja ich tem, że to niepierwszy raz ich ziemię wrogi najeżdżały, i z tej okoliczności korzystając śpiewa im pieśń o dawnych bojach, kończy: jako pobilismy Gotów, tak pobijem olbrzymów, na to: *wątpiąca westchnęła gromada.*

Potem wieszcz przemówił *wieszczbę.* W tej wieszczbie jest proroctwo, że *przyjdzie sokół złotopióry i zbawi skowronka; lecz mijały lata, a lachom coraz twardsze ciążyły kajdany,* aż — aż... na zachodzie zjawia się Słowianin *Samo.* Naciskani przez Franka, parci przez Fry-

zona musieli tam także Słowianie ukrywać bogów ołtarze. *Samo* oszukuje Franków, ze chce zostać kupcem i przyrzekł im, że powróciwszy z wyprawy kupieckiej podzieli się z nimi złotem.

„Prawda to, że do was wrócę,
Prawda to, że dam wam złota,
Jak że w nocy świeci słońce!...

Jakoś to wcale na wzniosłość uczucia nie zakrawa. Jest to zwrot nawet trywialny.

Drogą do Bosforu idzie Samo — i oczom nie wierzy, co chwila przystaje i woła: Cóż to się tu dzieje, o mój biały boże?

Ja się na Franka skarżę, nad mym losem smucę,
A przy tych narodów losie,
Mój, złotym się nazwać może.

Koło kupca zbiegają się tłumy, bo wiózł różne piękne rzeczy nawet i miecze — lecz Samo nie chce Obrom (olbrzymom) sprzedać mieczy, zwodząc ich, że to wszystko wiezie do cesarza, — Słowianom jednakże rozdaje miecze — biegły w sztuce wojowniczej, hufce z nich ustawia — a oni obierają go naczelnikiem wojska. Wojna. Samo zwycięża Obrów, Chana ich bierze w niewolę — I otóż to ów w wieszczbie, przez wieszcza, przepowiedziany sokół. Odtąd Samo będąc królem i pojąwszy dwanaście dziewic za żony, słynął na całą ziemię.

Zwyciężał wszystko i wszędzie, a w kraju Chrobatów, lud chrobry rwał kajdany ożywiony jego głosem. Obry wyginęli zupełnie, chociaż autorka w przypisku powiada, że to jeszcze nie teraz — jeno dopiero później, lecz tę licencyą przebaczyć jej należy. Ale któż jej przebaczy tę całą walkę Obrów, którzy w pierwszym tysiącu lat po Chrystusie zalewały Europę? Kto jej przebaczy nazwanie poezyą, pieśnią rymowanych wyimków z Lelewela (Narody na ziemiach słowiańskich) z Nestora, z Teofilakta, z Thierrego, z Długosza, Szafarzyka, Maciejowskiego — i innych dziejopisów, których każdy będzie wolał czytać, chcąc się o napadzie Obrów dowiedzieć, aniżeli żeby się miał nudzić odgadywaniem i porównywaniem z przypiskami wierszy najróżnorodniejszych form i licencyi?... Oj — poezyo — poezyo, — jakżeż dziś krwawemi obelgi — rój samozwańców po twoje wieńce sięga!

Na karcie 53 zaczyna się drugi poemat: „*Wyszymir*“ Zaczyna się fantastyczną legendą o rybaku i obrazowaniem wszystkich rzek polskich. Ta geografia poetyczna, gdyby czasem nie za trywialna ma najwięcej w sobie poezyi. Ot n. p. na karcie 76, bardzo ładny napotykamy obrazek o Wiśle, mówiącej o sobie tak:

Za bursztynową mieszkający bramą,
Bałtyk sędziwy, Bałtyk *Srebrno-brody* (!)
Jest moim ojcem . . . .
. . . .
A matką moją to szanowna skała,
Co między siostry swojemi Karpaty,
Górskie podemną podesławszy kwiaty,
W kolebce z głazu mię wykołysała.
Jej echa później śpiewać mię uczyły,
Tych pieśni tęsknych, rozlanych w zadumie,
Któremi wiecznie przy mych brzegach szumie,
Usypiam żywych a budzę mogiły. *(c. d. n.)*

TEATR POLSKI W KRAKOWIE.

W sobotę 24, w niedz. 25 i we wtorek 27 listopada występował znowu p. J. Królikowski w naszym teatrze. Artysta ten taką już pozyskał sobie w Krakowie sympatyą, że skoro tylko imie jego na afiszu się ukaże, biegnie każdy, kto jeno żyw, do teatru.— Słuszna, bo też jest ta sympatya, słuszna cześć. — Pan Jan Królikowski jest artysta, w całem znaczeniu tego słowa, a każdy występ jego coraz to nowy przymiot jego talentu nam odsłania. W „Rujblasie“ podziwialiśmy prawdę i życie — w „chłopcu okrętowym“ (w sobotę 24 odegranym) do złudzenia posunięte scharakteryzowanie młodzieńczej szlachetności żeglarza, w Zemście i Dożywociu, widzieliśmy znowu, jaką ten artysta rozmaitością charakterów celuje.

Co sztuka to nowy charakter, co charakter to typ. Rolę Milczka, w nieporównanej „Zemście“ Fredry, umiał on tak dalece podnieść, iż uwaga publiczności więcej na niego niż na inne, ważne i piękne charaktery tej sztuki, zwróconą była. Toż zrobił i z Łatką. Sceny Dożywocia w których Łatka się nie ukazywał, zdawały się za długie — obojętne — nawet nudne. — Nie można tego jednak przypisać wadliwości utworu, bo ten był i będzie zawsze doskonałym — przypisać to trzeba gieniuszowi artysty—do którego serce widzów przyrasta, sztuki potęgą porwane. W poniedziałek (26) odegrano dwie sztuczki „Lwy i Lwice“ (St. Bogusławskiego), utwór pełen nienaturalności i przesady, w którym dobra gra p. Pfeiffra do łez rozrzewniła publiczność — i Chłopi Arystokraci—zawsze wesołą i miłą komedyjkę. We Wtorek obok Dożywocia grano farsę z francuskiego (bez której obeszłoby się wcale) „Uściskajmy się“ — w niej pan Karol Królikowski grą pełną życia i salonowości słuszne odbierał oklaski. Obok Chłopca okrętowego (w sobotę) grano także trochę za tkliwy choć dość artystyczny dramacik p. t. „Arcydzieło nieznane“ w którym gra p. Karola Królikowskiego przypominała nam jego pokrewieństwo ze słynnym artystą — a mróz... grającego rolę Michała Buonarottego o tyle zniechęcał do sztuki, o ile go panna Safir swą naturalnością uprzyjemniała.

—

Wiadomości Literackie.

— Nakładem F. S. Dmuchowskiego w Warszawie, wyszło niedawno dziełko bardzo pożyteczne i dobrze opracowane p. t. „Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach.“ Obszerniejszy rozbiór tej bezimiennej pracy, umieścimy później w kolumnach naszego pisma.

— W Krakowie w drukarni „Czasu“ ukończono temi dniami oryginalną komedyę *Kaspra Zubowskiego* pt. „Ciocia Swatka“. Autor przedstawia charakter kobiety nie znającej swego powołania, żyjącej samą tylko czczością, dbającej niby o los drugich, swego nie mogącej przewidzieć. Jestto utwór sceniczny—właściwa więc jego ocena nastąpić może po odegraniu go na scenie.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku.

Prenumerata w miejscu wynosi:				Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:			
Rocznie	6 Złr.	—	centów w a.	Rocznie	7 Złr.	20	centów w. a.
Półrocznie	3 „	—	„ „	Półrocznie	3 „	60	„ „
Kwartalnie	1 „	50	„ „	Kwartalnie	1 „	80	„ „
Miesięcznie	— „	50	“ „	Miesięcznie	— „	60	„ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.

Miejscowi Prenumeranci mogą zamawiać tygodnik w księgarni F. Baumgardtena w głównym Rynku.

Inseraty odpowiednie naszemu dziennikowi, przyjmują się za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na stępel za każdorazowe umieszczenie.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**